

## **Marcin Suskiewicz: Bez omijania przydrożnych kapliczek**

Czytanie Marty Kwaśnickiej to przyjemność wieloraka i mało tu jednej metafory



**Czytanie Marty Kwaśnickiej to przyjemność wieloraka i mało tu jednej metafory** - przeczytaj recenzję książki "Krew z mlekiem", która ukazała się w magazynie Dywiz

„Genialnym artystą się nie jest – nim się bywa” – pisze Marta Kwaśnicka w pierwszym rozdziale „Krwii z mlekiem”. I z pewnością ma rację. Sprawdza się to także w przypadku jej własnej książki, która, choć ogólnie – co tu dużo mówić – piękna, zawiera fragmenty i nieco bliższe, i nieco dalsze od doskonałości. A więc trzeba się zgodzić. Ale przecież

w pewnym sensie jeszcze prawdziwsze jest zdanie przeciwne: genialnym artystą, w ogóle artystą, się najpierw jest (lub nie jest), a dopiero później (jeśli nim się jest), się nim również raz na jakiś czas bywa (w tych najlepszych momentach, „o najlepszych porankach”, jak by powiedzieli Anglicy).

Literatura „żywi się samą sobą, wypływa z lektur innych pisarzy” – czytamy dalej w tym samym rozdziale. I znów trudno zaprzeczyć, a sama „Krew z mlekiem” dostarcza argumentów na tak. Wszak wartość tego zbioru esejów – przyrównywanego przez innych recenzentów do „Barbarzyńcy w ogrodzie” Herberta – zasadza się między innymi na tym, że stanowi on próbę dialogu z wybitnymi, a często słabo znanymi dziełami zachodniej literatury czy szerzej – kultury. A jednak także w tym przypadku jeszcze więcej prawdy niż w tezie kryje się chyba w antytezie: bardziej niż dialogiem dobra literatura jest monologiem i wypływa w pierwszym rzędzie nie z lektur, ale z życia, z mózgu, z duszy samej osoby piszącej.

A jeśli tak jest – jeśli artystą się najpierw jest, a dopiero potem bywa i jeśli literatura żywi się pierwiej losem i osobowością autora niż jego lekturami – to musimy napisać, że „Krew z mlekiem” fascynuje nas dlatego, że fascynuje nas stojąca za nią osoba. I pozwolimy sobie – dalej używając dla kurażu tej staroświeckiej liczby mnogiej – wyrazić prośbę, by w przyszłości Marta Kwaśnicka rzadziej kryła się za bohaterkami dziewiętnastowiecznych powieści, hiszpańskimi zakonnkami, nadwrażliwymi angielskimi jezuitami piszącymi wiersze do szuflady, a więcej pisała o samej sobie. Mamy w tej książce autobiograficzne przebieżki – np. w ostatnim, wybitnym szkicu „Daemonium Meridianum” – ale chciałoby się więcej. Jeśli potrafi się o tych wszystkich osobach tak zaj-

mująco pisać, jeśli potrafi się nimi wszystkimi tak przekonująco bywać, trzeba najpierw samemu być – osobą wybitną. Wszak, jak mawiali scholastycy, „agere sequitur esse”.

O czym jest „Krew z mlekiem” (lubię powtarzać te trzy słowa – intrygujący tytuł to jedna z zalet tej książki)? Skoro jest to, jak chcą recenzenci, nowy „Barbarzyńca w ogrodzie”, to tematem musi być, co już sygnalizowałem, zachodnia Europa. Ta fizyczna – niektóre fragmenty zdradzają, że książka zrodziła się w części z osobistych podróży do opisywanych krain – ale bardziej jeszcze ta duchowa, do której przepustkę stanowi nie bilet lotniczy czy kolejowy, lecz raczej – ciągnąc, wbrew elektronicznym rewolucjom, tę samą papierową metaforę – karta biblioteczna. Przy czym Europa Zachodnia Marty Kwaśnickiej to nie tylko i nie głównie, jak dla Herberta, Francja i Włochy, to także, a może przede wszystkim, Hiszpania i Wyspy Brytyjskie (z Irlandią). Możliwe jednak, że coś przegapiłem, bo szkice te, częściowo znane mi wcześniej z blogu i czasopism, czytam teraz powoli i raczej na wrywki niż w jednym ciągu.

A więc Europa Zachodnia. Ale jest chyba jeszcze jeden, może nawet ważniejszy wątek przewijający się przez „Krew z mlekiem”: kobieta i kobiecość, zwłaszcza w zestawieniu z twórczością; kobieta jako twórca, czy też ogólniej jako podmiot aktywnie kreujący rzeczywistość. Co Marta Kwaśnicka ma w tym temacie do powiedzenia – nie zdradzę, bo też trudno byłoby streścić jej mądre myśli w kilku zdaniach. Powiem tylko, że jej wizja idzie jakby w poprzek ideologicznych podziałów, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Jakąś wskazówkę może nam dać intrygujące zdjęcie z okładki: kobiety przechodzące przez drewniane ogrodzenie, zupełnie samodzielnie, lecz jednocześnie nadal w staroświeckich sukniach i z misternie upiętymi włosami.

Czytanie Marty Kwaśnickiej to przyjemność wieloraka i mało tu jednej metafory. Ale w moim przypadku nasuwa się najsilniej właśnie jedna – jazdy samochodem z osobą doskonale panującą nad kierownicą. Przy czym zwykle nie jest to spokojna przejażdżka, lecz brawurowe, poetyckie wyścigi. Kierowca budzi jednak zaufanie – i go nie zawodzi. Bieg zawsze wskakuje bez trudu, zakręty brane są gładko, nie czuje się nawet szybkości, z jaką samochód pędzi – a czasem pędzi. O niewielu jej rówieśnikach można powiedzieć to samo – zwłaszcza tych piszących w internecie, którzy przyzwyczajają nas – piszę to samemu uderzając się w pierś – do stylu nie najwyższych lotów. Ci, o których można to powiedzieć, jeżdżą zwykle po trasach, które nie bardzo mnie interesują, a już zwłaszcza, dodajmy, notorycznie omijają przydrożne kapliczki. Z Martą Kwaśnicką jeździ się ciekawiej.

### ***Marcin Suskiewicz***



**Przeczytaj także:**

Andrzej Horubała: Martę Kwaśnicką ustanawiam

Robert Tekieli: Słowa odwieczne

Juliusz Gałkowski: Na ścieżkach niewytyczonych

Wacław Holewiński: Kwaśnicka ma jakiś niezwykły dar tropienia,  
węch wyczulony

Posłuchaj audycji w Dwójce

Marta Kwaśnicka: Dlaczego „Krew z mlekiem”?